

Panie Wacławie, panie Jerzy, panie Krzysztofie — niech panowie uważają!

Stoją panowie w towarzystwie znajomych pań, które wczoraj jeszcze były zwykłymi sobie Basiami, Krzysiami i Wandami, ubrani są panowie w ciemne, odświętne garnitury, zdenerwowani i bladzi. Stojcie za drzwiami — proszę jeszcze nie wchodzić! — do stojącej dziś gimnastycznej sułi. Trzy rzędy stolików, stół nakryty czerwonym sukniem. Słońce zagląda przez zakratowane — co za alegoria! — okna i dodaje wam otuchy: „Niechaj żywi nie tracą nadziei”. Powtarzacie na pół troniecznie, a na pół jeszcze teraz przypominając sobie Asnyka.

Panowie i panie — uważajcie. Jeden błąd, coś pokiebaśilo wam się na osteplowanym arkuszu i... żegnajcie tytuły! Pan Witold może zostać znów zwyczajnym Witkiem, a pani Barbara — Basią.

Więc uważajcie, ale nie przejmujcie się tym wszystkim. Za chwilę — zaczynamy. — Panie dyrektorze, czy możemy już wejść?

— Wejście.

Wypełniliście dostojną salę swym niedostojnym szeplem:

PRÓG DOJRZAŁOŚCI

„Ja usiądę za tobą, dobrze?”, „ty jesteś lepszy, idź na poczet...” — ale stop! — dzisiaj nawet szeptać nie wolno, a siadać musicie według z góry ustalonego planu: pan, panie Jurku tu, a pani Barbara tam.

Wszystko to za karę, za profanację świątecznego garnituru, bo, jak tak można: Siłowaci i Mickiewicz — lewa kieszeń marynarki, Sienkiewicz i Prus — w spodniach, Gałczyński i Tuwim — prawa wewnętrzna.

Musicie liczyć na własną głowę. Ale nie czas na dyskusję, uwaga...

Wysoka Komisja Maturalna, ty się też denerwujesz — ciach! — koperta otwarta. Jakże zawiera temat?

Westchnienia ulgi, westchnienia rozpacz, skrobienie piórami za uchem, skrobienie po papierze — tylko spokój może nas uratować — no, jakoś tam będzie.

Zapadła cisza, przypominająca spokój sali szpitalnej: od czasu do czasu miłosierna siostra nachyla się w stronę chorego i szepcze: jakiej potrzebujesz pomocy? Ci, którzy najmniej pomocy do napisania, najwięcej mają do powiedzenia.

Szeleszczą arkusze. Wysoka Komisja poblatuje spogląda na wasze pochylone głowy, niech wam idzie jak najlepiej!

Jakże szybko mijają godziny. Jedna, druga, trzecia postać odrzuca się od stolika, oddaje starannie przepisana pracę — „sprawdziłeś?” — „oczywiście!” i wychodzi z sali.

Za drzwiami tłum zdenerwowanych matek: „Jak poszło mojej Krysińce?” „Dobrze, dobrze, wszystko w porządku.”

Jeszcze trochę trzeba poczekać i już wszyscy skończyliście — „pisałeś o tym?” „nie zapomniałeś o tamtym?” „Uff, ale było gorąco!”

Teraz tydzień czasu, egzaminy ustne, potem dostaniecie do rąk drogocenną maturę, owoc jedenasto lat pracy, świadectwo dojrzałości.

Życzymy serdecznie — niech wam szczęście sprzyja, niech wiadomości nie uciekają z głowy, niech wam dają „dobre” tematy. Ekdzie już dorosłymi paniami i panami.

(baj)

O ŚREDNIOWIECZU ZIEM ZACHODNICH

rozmawiamy z prof. dr. Henslem

Od stu lat zwolennicy niemieckiego „Drang nach Osten” usiłują zatrzeć prawdę historyczną o prastarych ziemach Bałtyckim. Zwolennicy na prawym brzegu Odry, nad miastami piastowskich położonych cy imperializmu niemieckiego dowodzą że na tych ziemiach nigdy nie panował żaden z książąt czy królów polskich, że w ogóle nie mieszkali tutaj Słowianie. Co na ten temat mówi nauka?

Po odpowiedź zgłosiliśmy się u profesora dr. Witolda Hensla, dyrektora Instytutu Historii Kultury Materialnej w Warszawie.

GRÓD Z X WIEKU

— Gdy ktoś zapyta np. o pamiętki Szczecina, prawie każdy wymieni Zamek Piastowski, osadę rybacką na Zalewie Szczecińskim. Aby jednak poznać historię jakiegokolwiek ziem trzeba dysponować danymi nie tylko z epoki, w której ludzie używali pisma. Toteż plan badań dotyczących historii kultury materialnej ziem polskich podzielił na pięć zasadniczych działów: okres paleolitu — kamienia łupanego, okres neolitu — kamienia gładzonego, epokę brązu, okres wpływów rzymskich oraz wczesne średniowiecze. Badaniem średniowiecza kieruje prof. dr. Aleksander Głysztor. Okres ten obejmuje historię ziem polskich od VI do X wieku. Ostatnie wykopaliska w Szczecinie dowodzą, że w okolicy dzisiejszej ulicy Mewiej, już w czasach rzymskich istniał duży gród. Wiadomości z okresu poprzedzającego panowanie Mieszka I, pierwszego koronowanego władcy Polski mówią o istnieniu grodu i państwa księcia Domasława. Pamiętki tych czasów są resztki warownego zamku, grodu otoczonego drewnianą palisadą, wielkiej świątyni pogańskiego boga Trzygłowa. Szczególnie wykopaliska tej ostatniej budowli zasługują na uwagę: jest to jeden z najbardziej oryginalnych zabytków wczesnosłowiańskiego budownictwa. Gród, świątynia, zamek księcia zajmowały dużą przestrzeń: około dwudziestu hektarów.

POD KAMIENNYM BRUKIEM

— Czy to są wszystkie dowody polskości tych ziem? — Dowodów mamy tysiące — wymienię tylko niektóre. Z lat późniejszych pochodzą wykopaliska podgródzia — przedmieście grodu. Znajdują się tam dobrze zachowane resztki targowiska, a nad Odrą — portu. Podgródzie pochodzi z X w. Port także z X wieku odkryto przy pogłębieniu koryta Odry. Oto czerpaki pogłębiarki utknęły w mule. Dopiero nurek wyjął, że czerpaki zaczęły o wielkie dębowe pale dokładnie obok siebie wbite w dno rzeki.

— Słyszałem, panie profesorze, o znaleziskach wolińskich. Jakże jest ich znaczenie?

— Zaczę od rzeczy ogólnych: Otóż ujście Odry do Bałtyku zamykają dwie wyspy: Wolin i Uznam. Od ośmiu

lat prowadzimy tam prace wykopaliskowe. Pod gruzami zniszczonego w czasie ostatniej wojny miasta Wolin, pod warstwą naniesioną przez rzekę i morze piachu i mułu znaleziono kolejno warstwy kultur z wieku: X, IX, VIII, a ostatnio — wieku I przed naszą erą. Wszystkie one dowodzą słowiańskości tych ziem. Niech pan posłucha...

STARE KSIĘGI MÓWIĄ

— Niemiecki badacz Herbord, zmarły przed kilkudziesięciu laty, zajmował się badaniem przeszłości ziem Pomorza Zachodniego. Był to uczciwy, obiektywny uczony. Ale i on nie ustrzegł się omyłek. Opisując stary XI-wieczny Szczecin podał, że zamieszany był przez 900 rodzin, z których każda liczyła od 5—10 osób. Stare dokumenty dowodzą potęgi Szczecina już w wiekach wcześniejszych. Wiedząc, że gród ten rozwinął się najbardziej w wieku XIV, gdy Łokietek, król polski, a później jego syn, Kazimierz Wielki — zapragnęli osadzić po swojej śmierci na tronie polskim księcia Szczecińskiego i połączyć Zachodnie Pomorze z Polską, przypominamy dokumenty. Dowiadujemy się, że w roku 1126 rycerz Wyszek z 6 statkami każdy po 44 ludzi popłynął na korsarską wyprawę do Danii. Wyprawa nie udała się: ludzie Wyszka zginęli lub dostali się do niewoli. Jednak stan ludności Szczecina wcale nie uległ zmniejszeniu. Gdyby Szczecin posiadał tylko 900 ojców rodzin, a w wyprawie zginęło około 300, gród bardzo by podupadł. A tak wcale nie było.

lo. A więc badania Herborda nie były dokładne.

— Czy zechce nam pan profesor podać jeszcze kilka innych szczegółów na ten temat?

Z okresu chrztu, a więc X—XI wieku, pozostały takie oto cyfry: na drodze do Pyrzyca, dzisiejszej dzielnicy Szczecina, ochrzczono 50 ludzi. W Pyrzycach — 500, w Kamieniu — 3585, w Wolinie i Szczecinie (razem) ponad 15 000. Z tego na Szczecin przypada około 7000. A przecież wiemy, że w okresie chrztu nie wszyscy poganie przyjęli nową wiarę. Dane z I wyprawy misyjnej św. Ottona zachowały się w księgach kościelnych św. Piotra i Pawła, św. Wojciecha i innych. W księgach świeckich zachowały się natomiast inne dane dotyczące XI-wiecznego Szczecina: w dzielnicy Chyżyńskiej było 68 dziedzin (dużych domów z obejściami, mieszkań wojów, rzemieślników, żeglarczy (oraz 131 bud) małych pomieszczeń, mieszkań biedoty, sług, ciurów, rybaków, drobnych rzemieślników).

— Czy prace wykopaliskowe w Szczecinie nadal trwają?

— Wzdłuż Odry, od Świecia, poprzez Szczecin, Wolin do Kamienia trwają nadodrzańskie prace wykopaliskowe. Dowodzą one niezmniejszenia osiadłego od wieków plemienia słowiańskiego, które było ściśle związane z plemionami słowiańskimi zamieszkującymi na terenach położonych na zachód, południe i wschód od ujścia Odry.

Rozmawiał:

Andrzej CZARSKI

Postać diaboliczna poznańskiej kultury

Gdyby tak serio potraktować wszystko to, co pisze się na łamach poznańskich gazet i czasopism na temat niektórych osobistości życia kulturalnego Poznania, wypadłoby załamać ręce nad tym, że dla lajka tu same „szwarc-charaktery” lub ulec zgoła spirytualistycznemu przekonaniu, że diaby z piekła rodem uzyskały od Prezydium RN stołecznego m. Poznania zezwolenie na stałe zamieszkanie. Pomiędzy jednak detalne rozdrabnianie problemu, a zajmijmy się jednym „szatanem kulturalnym”, który grasuje przy ul. Grunwaldzkiej. Jest on najbardziej solidarnie atakowany przez skłócone z sobą frakcje kulturo-twórcze, (Przepraszam w tym miejscu za nadmierny patos ostatniej frazy!). Czegoż temu człowiekowi się nie przypisuje? Jest on niszczycielem gustu, szerzy ciemność łatwiną, ostoją drobno mieszczaństwa...

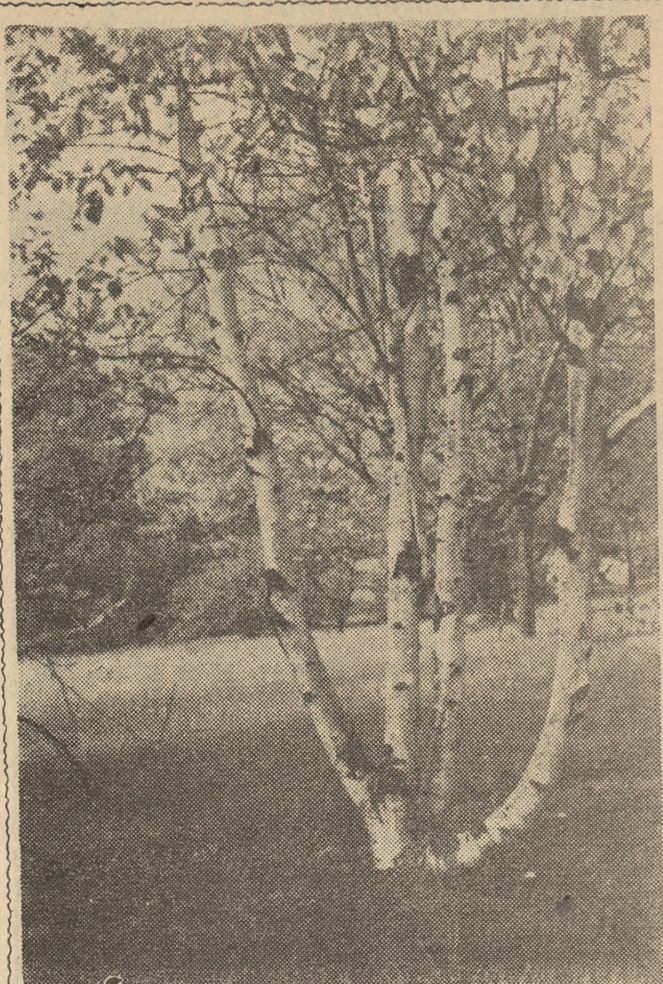
Pewien recenzent czy felietonista strzelał już do niego z najgrubszych dział grubiaństwa, żeby nie użyć mocniejszego wyrażenia. Pewni ludzie teatru z całą powagą twierdzą, że największym złem kultury poznańskiej jest istnienie „Komedi Muzycznej”. Za pewne, gdyby nie ona — poziom reszty przybytków dramatycznych — „podskoczyłby jeszcze”. Zresztą, poza czymś w rodzaju paszkwilu, nie z myślą o poważnym oddziaływaniu na „Komedię Muzyczną” jeszcze nie napisano. Wytworzył się bowiem komunalny strach pożarna. Sztatan kultury poznańskiej — podkreślam — stawiał

Szczerbowski nie wypada pisać nic dobrego”. Wypada natomiast dużo, złośliwie gadać, najlepiej z gestem lekceważącej dezaprobaty. I to właśnie powinno wzbudzić oburzenie. Trzeba bowiem pisać i mówić sprawiedliwie.

DYSKUSJA I polemiki

Spróbujmy więc zaproponować zasady wymiaru sprawiedliwości. Zarzuca się mu, że „panie tego, to spryciarz nie z tej ziemi!”. Przepraszam, od kiedy spryt nie polega na nieuczciwości jest czymś negatywnym? Zarzuca się może dyr. Szczerbowskiemu, że nie kocha deficytu w kasie teatralnej, i twierdzi, pa rafrazując pewne słowa, że „teatr powinien sam się żywić”. To jest coś złego? Radziłbym wszystkim zarazić się tą, oczywiście potępienia godną, zasadą samowystarczalności instytucji kulturalnej, choć nie chciałbym twierdzić tym samym, że każda z tych instytucji musi być samowystarczająca, lepiej jednak, gdy jest...

Dyr. Z. Szczerbowski ma jednak inne grzechy na sumieniu. Na przykład: psychicznie nie znoś pustki na widowni. Stara się prowadzić swoją scenę tylko przy kompletach. Po wojnie zorganizował jeden teatr. Było mu to mało, zorganizował drugi — letni, który nieszczerliwie chcieli później zrobić na taką zimową szopę, z żelaznymi kurierkami zamiast centralnego ogrzewania. Inicjatorzy tego pomysłu doczekali się zakazu odbywania przedstawień przez straż pożarną. Sztatan kultury poznańskiej — podkreślam — stawiał



Wiosna w Ogrodzie Botanicznym * Fot.: H. Dera

Pomarzyć warto

W stronę „mądrych maszyn”

Przed wszystkim wstępne zastrzeżenie: oczywiście nie jestem specjalistą techniki „mózgów elektronowych”, a interesują mnie one w tym artykule jako element techniki, który musi wywołać nowe zjawiska w dziedzinie społecznej, a także nastroczy nieco kłopotu filozofii.

PODSTAWOWE ZAŁOŻENIE najnowszej dziedziny wiedzy ludzkiej — cybernetyki brzmi: „nie ma zasadniczej różnicy między organizmami a maszynami (tu — szczególnie urządzeniami służącymi do działań matematycznych lub logicznych); powinniśmy uważać organizmy żywe za maszyny”.

Każdy przyzna że już to jedno stwierdzenie wywraca dotychczasowe pojęcia podstawowe. Głęboko w tym twierdzeniu tkwi również przekonanie, że teoretycznie można by stworzyć maszynę (w sposób techniczny), która pod wielo-

ma względami zachowywałaby się identycznie z organizmem (powstałym w sposób biologiczny), zbudować aparat zdolny do działań identycznych z mózgiem, lub zdolny do naśladowania części jego funkcji.

Okazuje się bowiem, że każde działanie logiczne czy matematyczne — można sprowadzić do najprostszej formy: twierdzenia i przeczenia ułożonego w pewnym porządku, tłumaczenie tego na „język” mózgu elektronowego jest stosunkowo łatwe: pod twierdzenie podstawia się impuls prądu, a pod przeczenie — brak impulsu. Tak jak w alfabecie Morse’a „kropka” — „kreska” sztyruje wszystko, tak tylko dwa rodzaje znaków — dodatni i ujemny — wystarczają budowanym obecnie mózgom elektronowym. Jest więc on — jak to, bodaj przed trzema laty, pisaliśmy na łamach „Nowego Świata” — „genialnym alfabetem”!

Działanie mózgu elektronowego opiera się nie na systemie dziesiętnym, a dwójkowym. Zamiast jednostek dziesiątek, setek, tysięcy itd. stosujemy jednostki, dwójki, czwórki, ósemki, szesnastki itd. — a więc kolejne potęgi liczby „2”. Przesunięcie o jedno miejsce oznacza nie przesunięcie o nową dziesiątą — lecz o kolejną potęgę.

System ten, jest jeśli idzie o miejsce — bardzo rozrzućny; lecz przy bardzo wielkich liczbach z wielu przyczyn należy do ekonomicznych, szczególnie dla mózgu elektronowego.

Tak oto wyglądałyby cyfry od 1—10:

Dziesiątka:	1	2	3	4	5	6	7
Dwójkowy:	1	10	11	100	101	110	111
		8	9	10			
					1000	1001	1010

Jak więc widzimy, „0” (zero) oznacza brak mnożenia przez potęgę 10 w systemie dziesiętnym wyraża się w systemie dwójkowym (1010) : 1 razy 2³ plus 0 plus 1 razy 2² plus 0 = 10. (Dodajmy, że system dwójkowy pochodzi podobno ze... starożytnych Indii). Dziś system ten znany jest jako „arytmetyka Bool’a. Odejmowanie od bywa się daleko prostsze niż w systemie dziesiętnym — i to właśnie jest ułatwieniem największym.

Oto przykład dodawania:

0101	(5)
+ 1001	(9)
1110	(14)

Dwa znaki dodatnie (jedynki) przesuwają znak dodatni (jedynkę) o jedno miejsce w potęgę — w odejmowaniu jest odwrotnie. Największym zaś sukcesem budowlanych mózgow elektronowych

(Dokończenie na str. 3)

(Dokończenie na str. 3)

Ludzkie sprawy Felliniego



Massina w La Stradzie...

Kiedy we włoskiej sztuce filmowej, wsławił się miary co „Złodzieje rowerów” czy „Rzym godzina i denasta” pojawił się wyraźny kryzys, wielu zachodnich krytyków poproszyło skwapliwie z mowami pogrzebowymi. Głosy te okazały się przedwczesne. Bo oto po niedługim stosunkowo czasie Włosi znów dali znać o sobie i na niebie filmowej sztuki pojawiły się znów gwiazdy pierwszej wielkości: Felliniego i Massiny.

Niechaj mi więc piękna wybaczy, że na pierwszym miejscu stawiam nazwisko Felliniego. Widz zawsze łatwiej za pamiętuje aktora niż reżysera, mimo że sukces filmu — to przede wszystkim zasługa tego ostatniego. Byskawiczą karierą Giulietta Massiny jest przykładem bardzo typowym.

W chwili, kiedy Fellini poznał swą obecną żonę, studiowała archeologię i bynajmniej nie myślała o karierze filmowej. Występowała wprawdzie w teatrze.



Massina kilka lat temu — nie-długo po ślubie z Fellinim.

kach, ale w dalszoplanowych rolach i niełatwo przyszło Fellinemu namówić ją do ekranowego debiutu. Giulietta po prostu bała się kina. Po długich targach zgodziła się na kilka fragmentarycznych ról; próby te przeżyły zresztą bez echa: nie stworzyły bowiem możliwości zabłyśnięcia talentem, a Massina nie należała bynajmniej do tzw. sex-bomb. Zyczeniwa, acz powściągliwa uwagę krytyki zwróciła dopiero w „Niebieskim ptaku”, wó-
ra to uważa przerodziła się w entuzjazm po premierze „La Strady”. Film szybko odbył triumfalny pochod przez ekrany wszy-
skich kontynentów, posypały się

W starzejącym się oszuście bu-
dził się raptownie uczucie dla do-
stającej córki; młoda, niedoro-
żliwa umysłowo dziewczyna
czeka na nikłą choćby iskierkę
zrozumienia u brutalnego Zam-
pano; śmieszna, naiwna Cabiria
marzy o małżeństwie. Sprawy pro-
ste — a zarazem bardzo ludzkie,
przy czym nie są to bynajmniej
poobiednie marzenia sytego nie-
szucha. Jeśli więc można mowić
o odwróceniu od neorealizmu —
to chyba nie w sensie wyboru
bohatera. Filmy Felliniego są
adresowane do uczuć zwykłych
prostych ludzi.

A jednak bohaterzy Felliniego
ponoszą klęskę — i to wła-
śnie wtedy, kiedy — mówiąc
najogólniej — chcą być do-
brymi. Tak, ale nie zapominaj-
my o tym, że — z wyjątkiem
„Niebieskiego ptaka” — nie
jest to klęska ostateczna. Śmierć
Gelsominy wyzwoliła wreszcie
w półwierzecym Zampano jakiś
prymitywny odruch człowieczeństwa —
jest to odkrycie wstrząsające. U-
śmiech Cabirii przekonuje nas,
że mimo wszystko wierzy ona
w sens życia i dobro ludzi. Te
ostateczne pointy mają nie
tylko sens dramaturgiczny;
nie jest to również cikiwy cu-
kier, dany widzowi na otar-
cie łez. Właśnie w nich od-
krywamy jakąś bardzo zasad-
niczą, filozoficzną wykładnię
ideowo-artystycznego „credo”
Felliniego, bardzo bliską tej-
jąką pamiętamy z filmów Cha-
plina, odcinającą się wyraź-
nie od pesymistycznych „bec-
ketyzmów” XX wieku.

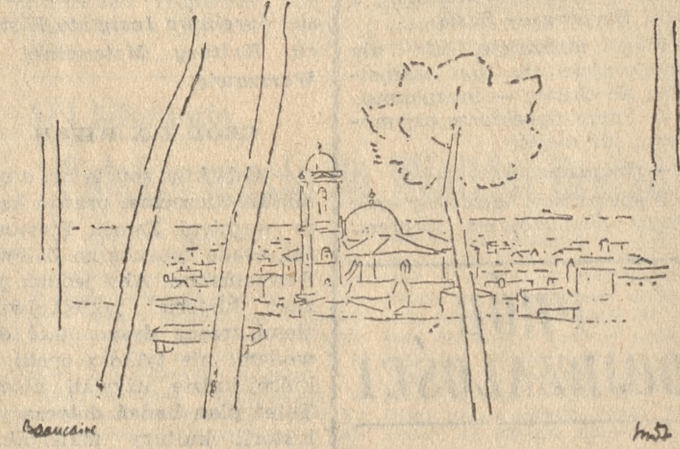
Znaczne natomiast odejście
od neorealizmu widać w płas-
zczyźnie, na której Fellini po-
kazuje i określa nam swoich
bohaterów. Nie jest to już pla-
sczyzna społeczna i doraźna,
nie są to już sprawy dnia,
chwytane na gorąco. W fil-
mach Felliniego mamy do-
czynienia przede wszystkim z
oceną moralną jednost-
kową, rozegraną w katego-
riach psychologicz-
nych. Trudno powiedzieć, w
jakiej mierze to przesunięcie
jest zerwaniem z założeniami
ideowymi neorealizmu i nie
chciałbym zbyt pochopnie ry-
zykować takiego twierdzenia.
Poczekajmy na dalsze filmy
Felliniego, i na razie wróćmy
jeszcze do samej Massiny.

Niewątpliwie jej kreacje w
„La Stradzie” i „Nocach Ca-
birii” są wielkim przeżyciem.
Uderzają przede wszystkim
śmiałością koncepcji. Sposób
interpretacji Massiny jest nie
powtarzalny, graniczy o włos
z katastrofą. Massina z o-
czekiwaniem irytuje — dopiero po
kilkunastu minutach oszoło-
wienia zaczynamy rozumieć
jej koncepcję — by od tej
chwili pozostać do końca fil-
mu pod urokiem wielkiego ta-
lentu aktorki. Osobiście dla
mnie największym odkryciem
jest przywrócenie roli grze-
micznej twarzy. Od dawna bo-
wiem przyzwyczailiśmy się do
ról tragicznych granich nie-
zwykle powściągliwie. Massi-
na wywraca nasze pojęcia do
góry nogami. Twarz jej jest
niezwykle ruchliwa, można
rzec — rozgadana, a jednak
każde, najdrobniejsze uczucie
potrafi przekazać widzowi z
zadziwiającą precyzją.

Wole ją jednak w „La Stra-
dzie”, który to film również
stawiam wyżej od „Nocy Ca-
birii”. Aktorstwo Massiny w
„Nocach” jest może jeszcze
bardziej wyczelowane, bar-
dziej wirtuozyczne; trudno je-
nak oprzeć się wrażeniu, że
jest to dalszy ciąg tej samej
 roli.

Z drugiej strony z tym więk-
szym zainteresowaniem czekał
he dzieł na dalsze filmy Felliniego
z Massina. Wiemy, że będą to fil-
my wielkiego formatu. W każ-
dym razie po tym co widzieli-
śmy, mamy pełne prawo się te-
go spodziewać.

Janusz BINIEK



Nowa witrażna grupy poe-
tyckiej „Wierzbak” mieści się
obecnie w hallu Teatru Polskie-
go, prezentując tym razem
twórczość młodego plastyka
poznajskiego Stanisława Mro-
wińskiego.

Wystawa obejmuje ponad
czterdzieści prac z dziedziny
grafiki. Głównym cyklem jest
zbiór rysunków na temat pej-
zażu włoskiego i francuskiego,
z których dwa reprodukuje.

Wystawę obejrzeć mogą nie-
stety tylko ci, którzy wybiorą
się do Teatru Polskiego, jako
iż poza godzinami spektaklu
wystawa nie jest otwarta dla
zwiedzających. (ch)

»TRUJĄCA MGŁA«

Miasteczko powiatowe jakich
wiele — siedziba władz, emerytów
i zakładów farmaceutycznych —
o atmosferze znanej z własnej ob-
sady wacji prawie każdemu czytel-
nikowi; „tajemniczy dom”, coś w
rodzaju pałacyku na przedmieściu,
w którym o nocach słychać „ku-
cie ścian, odsuwanie mebli i diabli
wiedzą co jeszcze”; zamieszkuje
ten dom galeria typów i typów
rodziny Sienkich — oto tło naj-
nowszej powieści sensacyjno-kry-
minalnej Tadeusza Kosteckiego
(pseudonim Krystyn T. Wand), wy-
danej przez katowickie Wydaw-
two „Śląsk”.

Obok swoistych uroków, spokoje-
ne — zdawałoby się — miasteczko
ma ciemne, łamy: podejrzanego
autoramentu knajpy i dość liczny
świątek przestępcy, którego uo-
sobieniem jest rosy drab „Cwaj-
nos”. Akcja powieści, co jest jej bez-
sprzeczną zaletą, toczy się wartko.
Zatem już pierwsze strony przy-
noszą zagadkową śmierć dwójki
osób w domu Sienkich, a w miarę
jak problem ten usiłuje rozwikłać
nr med. Jerzy Kostrzewa — eks-
pert Komendy Głównej MO, nastę-
pują liczne komplikacje, mnożą
się zamachy, napady i strzały.

Kto otruł, kto dokonał licznych
zamachów, zwerbował do napadu
na spokojnego emeryta i wywia-
dówców milicji „Cwajnos” i je-
go drabów? Pytanie to, godne u-
wagi słynnego Sherlocka Holmesa
bohatera opowiadań kryminalnych
Conan Doyle’a, stawia w sposób
sugestywny przed czytelnikiem
autor „Trującej mgły”. Oczywiście
i ja nie odpowiem na to pytanie.
Biedzie się sami. Jeśli nie wpad-
niecie na trop zagadki w czasie
czytania, rozwiązanie znajdziecie
na ostatnich kartkach. Rozwiza-
nie dość oryginalne, bo oparte na
znajomości psychiki i zbrodniarza.

Rzecz warta jest przeczytania.
Gdyby jeszcze autor operujący
zrećnie dialogiem, zwrócił więk-
szą uwagę na formę artystyczną
(a tej bynajmniej nie musi być po-
zbawiona powieść kryminalna),
jego książka o „tajemniczym do-
mu” byłaby w tym rodzaju twórc-
zości pisarskiej nader wartości-
wą pozycją. (jt)

Andrzej BAJKOWSKI



...i w „Nocach Cabirii”.

NIEBIESKIE RÓŻE

nagle kolano. Położył w tym miejscu rękę,
zakrywając niedyskretną garderobę.

— No... tak... — potwierdziła niewyraź-
nie. — Wiesz, Mela przyjdzie z Adamem we
wtorek.

Nie zrozumiał od razu:
— Mela?
— Krotowska. Teraz ona nazywa się Woź-
niak. A Adam, to jej mąż, ten architekt.

— Mhm — z roztargnieniem pokławił gło-
wą. Myślał o dziurawym pantoflu, o Hen-
ryku, któremu obiecał do jutra oddać pięć-
dziesiąt złotych, o niewykupionych obla-
dach.

— Adam zarabia kupę forsy — ciągnęła. —
Przylecą pewnie samolotem, będą mieszkali
w „Orbisie”. Żebyś wiedział, jakie mają
mieszkanie, nigdy nie będziemy mieli tak-
iego mieszkania!

— Mieszkanie? Dlaczego nie będziemy
miej mieszkanie? Wszyscy mają. Kiedyś
będziemy mieli mieszkanie: dwa pokoje
i kuchnię, i łazienkę, i balkon, i...
— Będziemy mieli... — niepewnie poki-
wała głową.

Za ścianą pokręcono gałkę radia, wśród
trząskowych łowów słowa: „W klasyfikacji dru-
żynowej Polska zajęła piąte miejsce...”

— Ola zerwała z Mirkiem. Przeczuwałam,
że tak się skończy.

— Powiedz raczej: Mirek zerwał z Ołą.
Krótki przerzut na Barbare. Tacy jak on
długo nie potrafią.

— A ty, długo potrafisz?
Podniósł głowę.



stko widać. Przez szparę u dołu drzwi wpa-
dała smuga światła, zaświecając żółtym rom-
bem szarą od kurzu podłogę.

— Będziesz musiał już iść. Pewnie zaraz
wróci Ola, pójdziemy spać.

Podniósł się powoli, sprężyny zaszczyły
nieprzyjemnie, tak, jak gdyby ktoś potarł
metałem o szkło. Drgnęła gwałtownie.

— Czekaj, jeszcze nie, Mops łazi po kory-
tarzu.

Mopsem nazywano tu portiera: było pu-
bliczną tajemnicą, że jest wtyczką dzieka-
natu na terenie „akademika”. Wszyscy twier-
dzili przy tym, że Mopsa można bez trudu
przekupić, postawiwszy mu parę kiełbasków,
ale niewielu odważnych sprawdzało praw-
dziwość tej plotki.

— Dobrze, zaczekam — zgodził się po-
słusznie. Z uśmiechem popatrzał na rozłoża-
cy się pantofel.

— W takiej sytuacji — kontynuował myśl,
która przyszła im przed chwilą do głowy —
nawet przy całkiem dobrych chęciach nie
mógłby; nie postawić Mopsowi. Uśmiechnął
się jeszcze szerzej: koronkowa siatka nite-
tek na przetartej nogawce pozwalała dojrzeć

VIVAT KRÓL!

Mieszkańcy Poznania nie należeli do ponuraków, bardzo też skwapliwie korzystali z każdej okazji, by się zabawić. Nie zawsze to było łatwe, ale wszystkiemu można było znaleźć sposób. Nie zabrakło im pomysłów. Nie zabrakło im pieniędzy. Nie zabrakło im czasu. Nie zabrakło im miejsca. Nie zabrakło im ludzi. Nie zabrakło im...
Zielone Świątki nastrojały mieszkańców miasta. Poznań miał wtedy swój rodzaj zabawy. Tę zabawę strzelanie do kurki, a później do tarczy...

Ano widać, że zawsze ludziom się wydawało, iż „dawniej było mniej trosk”, a więcej powodów do radości.

Bractwo kurkowe pamiętamy wszyscy, tylko najmłodsi są od tego zwolnieni. Wspominamy tych „starszych lepszych panów” w zielonych mundurach, w szarych z zielonymi lampasami spodniach i dekadentowskich kapeluszach z obowiązkowymi „rajarami”. Młodzi mieli gesty, bywały i sumiaste wąsy, brzuski najczęściej przed frontem kompanii się natężyły wysuwając, no i „flinty” nad ramię mniej więcej na wszystkie strony świata sterczące.

Zarząd poznańskiego Bractwa Kurkowego uważał za rok założenia organizacji rok 1253. Czytamy w „Księdze Jubileuszowej” Bractwa, iż „musiało powstać w każdym razie najpóźniej w okresie założenia miasta nowego, to jest 1253 r. Najstarszy zaś dokument bracki pochodzi z 11 VII 1537 r. Powstawaniu bractw kurkowych sprzyjała potrzeba przysposobienia wojennego ludności miejskiej. Stąd i liczne przywileje królewskie dla tych bractw.

Więcej jednak było w tym okazji do uciechy i zabawy (w wojsko), aniżeli istotnego pożytku.

Strzelanie do kurki albo do tarczy „bez zmyślu, prosto białe, czarno i w posrodku czerwono, bez figlów kolo niej czyści” prezentowanej, odbywało się w celstwie czyli strzelnicy. W wieku XV była strzelnica na Garbarach, pomiędzy Bramą Wielką (cz. Tumską) a Wartą. W roku 1686 zakupiono od ks. Marcjuszki działkę ze stawem nad Bogdanką, pomiędzy Al. Marcinkowskiego (nr 3) a Placem Wiekopolskim. Strzelnica tam wystawiona przetrwała ponad sto lat, do czasów Prus Południowych. Na początku wieku XIX przeniesiono ją na Błonia Wildeckie (Droga Dębińska), by w r. 1857 założyć strzelnicę na Miasteczku. Powodem tych kolejnych przenosin była budowa fortyfikacji. Wreszcie w r. 1910 zbudowano strzelnicę na Niestachowie (Wojska Polskie-

Stara Strzelnica przy Drodze Dębińskiej, zamknięta w roku 1857. (zdjęcie pochodzi z około 1900 r.).

go — Zakład Zoologii), po czym w roku 1923 przeniesiono ostatecznie na Szelego.

Obyczajów i postanowień przestrzegano w bractwie do dzisiaj. I to do najnowszych czasów, zwłaszcza gdy chodziło o uroczystości związane ze strzelaniem do tarczy królewskiej. Królem zostawał ten z braci, „czuj trafniej strzelający”. Strzelanie trwało od poniedziałku zielonoświątecznego do czwartku. Następowoła potem dekoracja królewska i prezentacja na ratuszu „stawnemu urzędowi”. Dopełnienie tego było aktem prawnym, gdyż zgodnie z przywilejami Bractwa, każdorazowy król kurkowy był zwolniony od podatków wszelkich na najbliższy rok. Niestety były i koszty związane z tym honorem. Król kurkowy „tak jako inny król we wszystkim ma się sprawować: mianowicie kolumną dla braci wszystkich ma wyprawić, albo ja pieniądze ma wynagrodzić... W pierwszą niedzielę po ś. Trójcy powinien łubek srebrny przywity zieleń dać... i tegoż dnia dla braci wszystkich beczkę piwa

Nowości z kraju i ze świata

Z MEXYKU przyszła nadzwyczajna wiadomość, że dwaj doktorzy wynaleźli nowy środek przeciwko malarii. Lek ten nazwano „pirimetraprim”. Uzdrawia on cierpiących na malarię w ciągu 48 godzin, (skutkuje zażycie 3 tabletek). (t. cz.)

BADANIA WPŁYWU SNOW na organizm ludzki przeprowadzono na uniwersytecie w Chicago. Dwaj uczeni — Kleitman i Dement — za pomocą specjalnych aparatów połączonych elektrodami z organizmem rejestrowali fale wysyłane przez mózg śpiących oraz ruchy ich gałek ocznych.

Porównując wykresy z opisem snu przebudzonych stwierdzono, iż sen pozbawiony marzeń wysyła fale długie, dające spokojny, zakręglony wykres, podczas gdy marzenia senne dają fale krótkie, których wykres ma kształt zębów pily. Stwierdzono również, że gałki oczne poruszają się w czasie snu, zależnie od treści marzeń sennych.

Przy okazji ustalono, iż najdłuższe sny miewa się nad ranem, a przeciętny czas marzenia sennego trwa 20 minut.

w celstwie, zyczajnem miejscu wystawić... O który łubek bracia strzelać powinni... a który z nich najlepszy trafniej będzie, temu... łubek powinni oddać; a ten, który go odbiera, powinien będzie ten-że łubek świeżo przywity na niedzielę przyszłą znowu braci na temże miejscu wystawić, które strzelanie ma się odprawiać do święta ś. Marcina. A więc do jesieni, przy czym niejedną beczkę piwa wysuszą. Tym bardziej, że „w pomienionym celstwie piwa różnie przewoźne szynkować” było można z przyzwolenia królów polskich. Mieli ci królowie zrozumienie dla potrzeb gardlanych braci kurkowej, a nie jak Fryderyk II, który zawieszając działalność bractwa w Bydgoszczy z przyczyn prohibicyjnych. Trzeba nawet na tronie mieć nieco wyobraźni.

We wspomnianym już roku 1836 poznańskie Bractwo ufundowało też złoty łańcuch o 58 ogniwach, a który „wazył 116 dukatów”. Łańcuchem tym przepasywano królów kurkowych, a nowo kreowani królowie obowiązyani byli przysięgą do łańcucha dwa ogniw. Łańcuch przechodził różne koleje, częściowo sprzedawano go na cele Bractwa, przez sto lat (po 1824 r.) nie przybywało ogniw. Zwyczaj ten odnowiono dopiero w roku 1926. W roku 1928 łańcuch liczył 133 ogniw. Bractwo miało jeszcze i inne insygnia i klejnoty.

Bywało więc w strzelnicach najczęściej wesoło. A już w tygodniu strzelania do tarczy królewskiej przez niemal tydzień brzmiała muzyka, a młodzież pici obojętne tańczyła lub grała w farynę (gra w kości o pierniki, szklanki, noże itp.).

Ta nuta pogody brzmi i w pieśni Bractw Kurkowych. Cytuje ją Klementyna Hoffmannowa. Autorem jej był Konstanty Majeranowski (1821 — zamieściła ją „Pszczółka Krawkowska”).

A dalejże kozernicy!
Krzese kurki i rusznicy,
który postrzeli koguta
temu zabrzmi wdzięczna nuta.

A kto kurka zbije
Vivat, król niech żyje!

A dalejże kozernicy!
Wprawiając się do rusznicy
a gdy przyjdzie czubić Turka,
popamięta piosenka na kurka.

Bóg da te bestyje
Król kurkowy zbije!

Wiktor TUTEJSZY

Postać diaboliczna poznańskiej kultury

(Dokończenie ze str. 1)

bliczność poznańska z wielkim oburzeniem przyjęła tę haniebną inicjatywę i zaczęła do nowego teatru walić drzwiami i oknami, by dać wyraz swej dezaprobacji. Lubie wyznawać przekonania odmienne — od powszechnie panujących — i wzorem recenzentów oglądałem tylko foty przedstawień nie zaglądając do środka. Zachowywałem swoje „splendid isolation”. Foty reszta nie były (i nie są) świetne, dlatego urabianie sobie opinii o tym przybytku kultury, przychodziło mi tym łatwiej.

Wszystko jednak ma swój kres, także unikanie „Komedii Muzycznej”. Znalazłem się bowiem w ostatnich dniach, zupełnie wbrew swojej woli, na przedstawieniu „Skalmierzanek”. Pomyślałem sobie wówczas: okropnie perfidny szatan z tego dyr. Z. Szczerbowski! Zamiast szmiry daje narodowy program i to z muzyką, a nie tam jakimś rzemopolniem na dwu fortepianach, jak to bywało in illo tempore w szopie, tuż przed zakazem Straży Pożarnej. Nie przedstawia kurtyzan w negliżu, ani wity starszych panów, za które to wizyty skarb PRL płaci w wolnych dewizach dolarowych (w ostatnim przypadku we frankach szwajcarskich). Dyr. Z. Szczerbowski jest bardziej nieczny — sięga do bezpłciowego repertuaru epoki, gdy narodowa sztuka dramatyczna znajdowała się w statu nascendi. Może ten wodewil-komedia-opera traci myśkę, lecz po

W stronę „mądrych maszyn”

(Dokończenie ze str. 1)

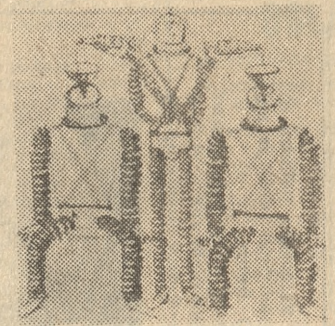
wych jest to, że do zapisu dwójkowego sprowadzili każdą jego czynność, aż do przechowywania informacji czyli „pamięci elektronicznej” włącznie, i na nią także oparto zasadę maszyn tłumaczących np. tekst angielski na rosyjski lub odwrotnie.

Wiedza z tej dziedziny — mimo sukcesów jest dopiero w powijakach. Największy zbudowany dotąd „mózg elektroniczny” zawiera 20.000 elementów odpowiadających komórkom mózgowym człowieka. Człowiek posiada ich „10 lub więcej miliardów”. Stąd trudno porównywać zdolność do rozwiązywania problemów przez maszynę stworzoną sztucznie przez człowieka — choć nie można powiedzieć, że człowiek nie zbuduje maszyny o zdolności umysłowej równej sobie. W tej chwili — twierdzą cybernetycy — różnica leży zasadniczo tylko w ilości elementów użytych do budowy aparatu — a nie w samej zasadzie. „Mózg elektroniczny” jest bowiem w gruncie rzeczy modelem czynności nerwowych komórek człowieka. Kapitałnym przykładem jest pewna anegdota.

McCulloch budował aparaty służące do odczytywania tekstu dla ślepych. Fenomenem tej maszyny jest to, że odczytuje ona tekst nie zależnie od wielkości, rodzaju położenia i rodzaju pisma. Nie baliśmy się jednak zagłębiać w te szczegóły... W każdym razie, gdy McCulloch pokazał schemat sieci elektrycznej owej maszyny wybitnemu znawcy anatomii nerwów (neuroanatomowi) von Bon-

nowi, ów był w pierwszej chwili przekonany, że pokazano mu schemat czwartej warstwy kory mózgowej — pola wzrokowego!

Równocześnie warto zanotować, że uczeni radzieccy dokonali fenomenalnego odkrycia w oparciu o rozwinięcie teorii Pawłowa. Podobno patrafia oni nie tylko odczytać istnienie fal mózgowych, co jest przebieg zjawiskim znany od paru lat (w zakładach psychiatrycznych funkcjonują i w Polsce maszyny zapisujące napięcia wewnątrzmożgowe podobnie do elektrokardiogramu); uczeni ra-



dziecy dokonali skoku w nową jakość — potrafili w sensie dosłownym odczytać myśl. W połączeniu z „mózgiem elektronicznym” człowiek może przy użyciu dodatkowego aparatu myśleć, bez czynności mechanicznych jak ruch ręki czy głosu — przekazywać swoją wolę innej maszynie, która posłusznie będzie reagowała na te nieme dyspozycje.

Pod pewnymi względami „mózg sztuczny” przewyższa nawet mózg człowieka.

Otóż szybkość przebiegania impulsów w przewodach nerwowych człowieka mierzy się

w dziesiątkach metrów na sekundę; natomiast szybkość przebiegania impulsów w maszynie elektronicznej — setkami tysięcy kilometrów na sekundę! Stąd też bierze się owa szybkość, z jaką maszyny elektroniczne rozwiązują działania matematyczne. Właśnie pod tym względem doskonałszy jest sztuczny „organizm myślowy”, zbudowany przez człowieka. Wyższość człowieka w sensie filozoficznym zasadza się zaś „tylko” na tym, że potrafi taką maszynę zbudować.

Wiemy, że człowiek musi być uzbrojony w szereg wiadomości, które do rozwiązywania problemów naukowych nie są mu potrzebne, lecz do życia w sensie biologicznym i społecznym — nieodzowne. Maszyna, jako organizm nie żyjący w sensie biologicznym, nie potrzebuje tego „balastu”. Gdyby się więc udało zbudować „mózg elektroniczny” o pojemności miliardów, a choćby setek milionów lamp elektronicznych następujących komórki nerwowe — i następnie „naładować” go pełną sumą wiadomości, którymi dysponuje w tej chwili ludzkość z zakresu fizyki atomowej, klasycznej chemii, matematyki, biologii itd. — mógłby on kojarzyć te wiadomości w sposób twórczy i formułować prawidłowe jeszcze ludzkiej nauce nieznanne, czyli mógłby być „mądrzy” od pojedynczego badacza. Poważni naukowcy nie wykluczają takiej możliwości, a wielu z nich w sposób stanowczy potwierdza istnienie takiej możliwości.

W głowie może się zakręcić od tego rodzaju perspektyw. Przecież wówczas człowiek zachowuje swą wyższość nad maszyną tylko w sensie biologicznym; tylko bowiem istota żywa zdolna jest do reprodukcji gatunku. Maszyna zaś — nie, Chociaż... — jak twierdzą cybernetycy — teoretycznie może ona zaprojektować nie tylko maszynę równą sobie, lecz nawet... doskonałszą!

Przyszłe pokolenie nie będzie więc zdobywać wiedzy indywidualnie i obciążać pamięć balastem wiadomości; rozwój systemu nauczania pójdzie w kierunku kształcenia umiejętności budowy i obsługi „mądrych maszyn”, co musi się stać podstawową wiedzą wykształconego człowieka.

Prawdziwy jednak przezwrot w pojęciach człowieka powinien nastąpić dopiero wtedy gdy maszyny elektroniczne staną się powszechnie dostępne i będą stosowane wszędzie: do sterowania pojazdami w przestrzeni kosmicznej, w powietrzu, na ziemi i na wodzie, do wykonywania czynności domowych — jak porządkowanie, gotowanie, do produkcji towarów użytkowych, do kierowania pracą maszyn prostych, do lecznictwa (a przede wszystkim diagnostyki). Maszynę zastępującą proces myślenia człowieka będzie można wszędzie zastosować, do każdej czynności człowieka, która wymaga decyzji, opartej na wyborze jednej z wielu możliwości.

Wątpię jednak, aby nawet największy „mózg elektroniczny” mógł zastąpić człowieka jako twórcę artystę; chociaż są naukowcy skłaniający się do takiego twierdzenia. Przypuszczają oni mianowicie, że „myśląca maszyna” mogłaby skomponować... symfonię... Czy napisałaby „Cichy Don”, „Buddenbrooksów” lub „Pana Tadeusza”?

Trudno przypuścić, by człowiek spadł w sensie filozoficznym do roli niewolnika zbudowanego przez siebie mechanizmu. Przyszłe pokolenia przeznacza jej rolę, bo inaczej być nie może — tylko genialnie skonstruowanego narzędzia, a nie podmiotu życia, tym bardziej społecznego. Sfera kultury, sztuki, filozofii — pozostanie chyba na zawsze wyłącznością organizmów myślowych.

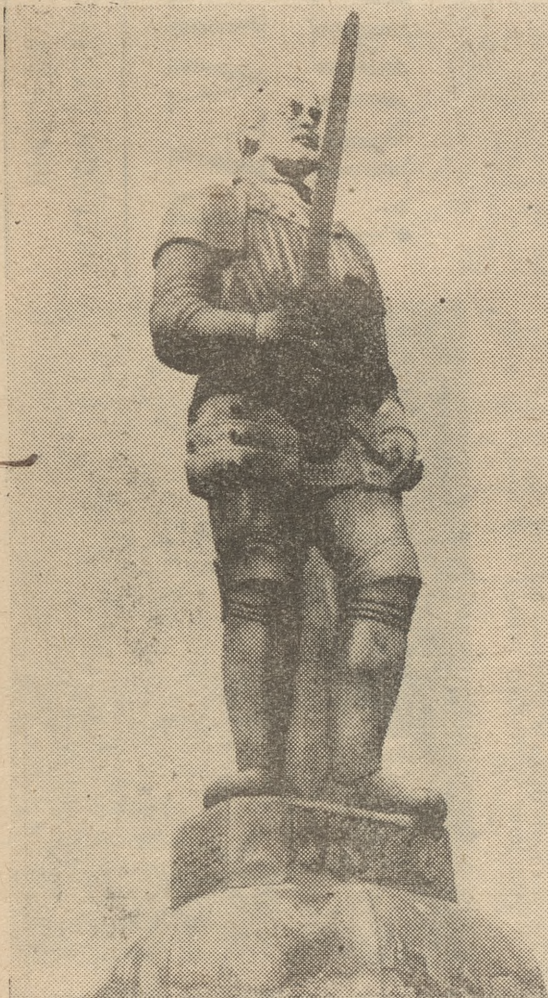
Mimo to konsekwencje ekonomiczne i społeczne z połączenia sztucznego źródła myślenia (elektroniki) i sztucznego źródła energii będą z pewnością znaczne. Bez wątpienia jest to kluczowym problemem nadchodzących, dziesięcioleci. Już dziś najwybitniejszym pisarzem powieści fantastycznych trudno wyprzedzić naukę, która isticie w szalonym tempie realizuje błuźniercze zgoła marzenia współczesności.

AXANTEGI

Janusz LIKOWSKI



Strzelnica na Miasteczku (około 1908 r.).



Salvador Dali nadal w dobrej formie

Niedawno odbyła się w Paryżu konferencja, w czasie której słynny malarz Salvador Dali wyjaśnił zebranym, jaką rolę w jego egzystencji odegrała idea „chleba”. Aby jednak wytłumaczenie jego było zupełne „jasne”, musiał on upiec olbrzymi chleb. Marzył o tym od trzydziestu lat, a udało mu się to dopiero teraz... Dziwaczny chleb ma 12 m długości i jest nowym osiągnięciem reklamowym malarza, który — jak wskazują wszystkie znaki na ziemi — jest z pewnością największym kabotynem wśród plastyków XX wieku.



Do filmowej satyry muzycznej pt. „Młody Anglik” zaangażowano znanego aktora pantomimy Jean Soubeyrana, ucznia Jean Louis Barrault.

Na zdjęciu: znakomity aktor w epizodzie, w którym odtwarza trudną rolę... małpy.

ZNACIE?

Bywa, że obok charakterystycznych ornamentów budynków lub obok znanych pomników przechodzimy kilka razy dziennie, a jednak nie wiemy dokładnie jak one wyglądają. Czy wiecie na przykład, w którym miejscu miasta sto. ten oto pomnik?

Jeśli wiecie — przyślijcie odpowiedź (tylko na kartkach

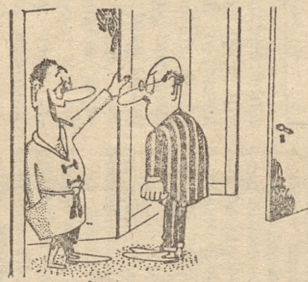
NO TO ODPO- WIEDZCIE

pocztowych) na adres „Nowego Świata” do dnia 29 bm. Uzyskanie w ten sposób szansę zdobycia jednej z nagród książkowych.

Za poprawne odpowiedzi nadesłane w ubiegłym tygodniu (zdjęcie przedstawiało wejście do Ratusza) nagrody otrzymują: Wanda Wąsikowska — ul. Dzierżyńskiego 29/18, Stanisław Kozłowski — ul. Chłapowskiego 26 m. 2 i Cezary Paciork — ul. Dzierżyńskiego 135 (nagrody do odebrania w pokoju nr. 66 redakcji w godz. od 11—15).



— A dzisiaj nie przyniósł pan żadnego dziadziusia, panie doktorze?



— Jeśli pan słyszy moje radio tak dobrze, jak pan to teraz opisuje, to proszę przynajmniej opłacać je w polowie.

U ABSTRAKCYJNISTÓW
— Na szczęście mam portret tego złodzieja!



ALFARET HISTORIA dekawuski

KOCIAŁKOWA GORKA (pod Pobiedziskami) istniała już w r. 1213, jako włość rycerska.

KOBYLNIKI, KOBYLNICIA itp. nazwy oznaczają księżę wsie słu żebne, zapisane już w XIII wieku.

KORAB w powiecie kaliskim — swoją świetność przeżywał w latach 1526—1600, kiedy to pełnił funkcje miasta, licząc kilka chałup i jedną uliczkę. Na kościół stać go już nie było. Ale, co tytuł, to tytuł! Korab — to tyle co okret. Skąd ta nazwa, nie wiem.

KÓRNIK — mieszkańcy tego miasta jeszcze dziś się oburzają — kiedy wywodzi się nazwę ich miasta od kurnika. Przepraszam, zatem: pochodzi ona od kórnik (lub kornika), który stołuje się w sośnie. Jako wioska. Kórnik powstał po 1253 roku, a jako miasto — w latach 1491—1458.

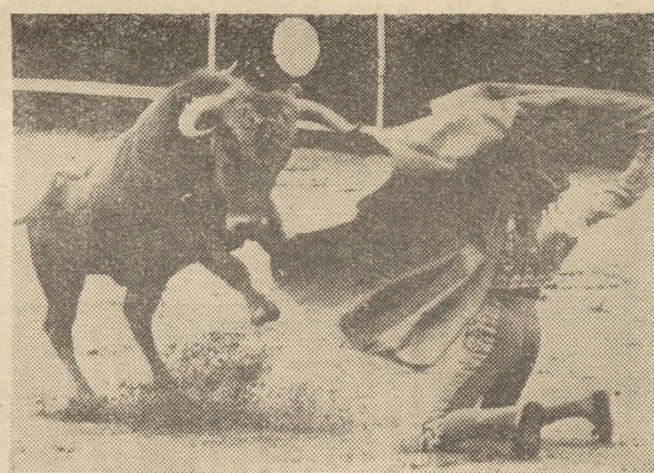
Przez sam środek słynnego Zamku prowadziła droga na Wrocław. W czasach szlacheckich, ilością mieszkańców i rzemieślników „bli go na głowę” pobliski (2 km) — Bnin. To miasteczko zawdzięcza sławę Zamkowi z ciekawymi zbiorkami. Twórcą tutejszego Muzeum był ostatni z rodu Działyński, uczeń 3 powstań (1846, 1848, 1863 r.). Jego siostrzeniec, Władysław Zamoyski (1853—1924), utworzył z tutejszych dóbr „Fundację Kórnicką”, która przekazała narodowi. Wokół Zamku olbrzymi park z 10-tysiącami różnych gatunków drzew.

KONARZEWO pod Poznaniem — pałac budowali architekci włoscy dla rodziny Radomickich. Dziś w tych olbrzymich i zimnych salach żaden z nas by nie chciał mieszkać. Tytus Działyński, gdy podniósł z ruin Zamek w Kórniku — gromadził tu ciekawe zbiory.

U Hiszpanów są to oczywiście krwawe walki byków, których bohaterowie (zarówno ci dwunożni jak i czworonożni) cieszą się sławą i popularnością jak kraj długi i szeroki.

Oto jeden z ulubieńców publiczności — toreador Eurique Loyo (zdjęcie z prawej). Jak zwykle z niesłychaną zręcznością unika ciosu atakującego byka.

Brazylię — jak wiadomo — pasjonuje piłka nożna, czego najlepszym dowodem jest jeden z najlepszych ze spółów piłkarskich, zbierający laury na wielu stadionach świata. Jest jednak taka część Brazylii, która ponad wszelkie przepiękne zagrania i kombinacje futbolowe ceni sobie wyżej walkę dwóch rasowych kugutów. W Pernambuco jedynie światowej sławy dru



żyna piłkarska zdoła przestronić atrakcje kugociego meczu. Nie trzeba oczywiście dodawać, iż właściciele i sympatycy śledzą walki swych faworytów z dużym napięciem (patrz zdjęcie u dołu).

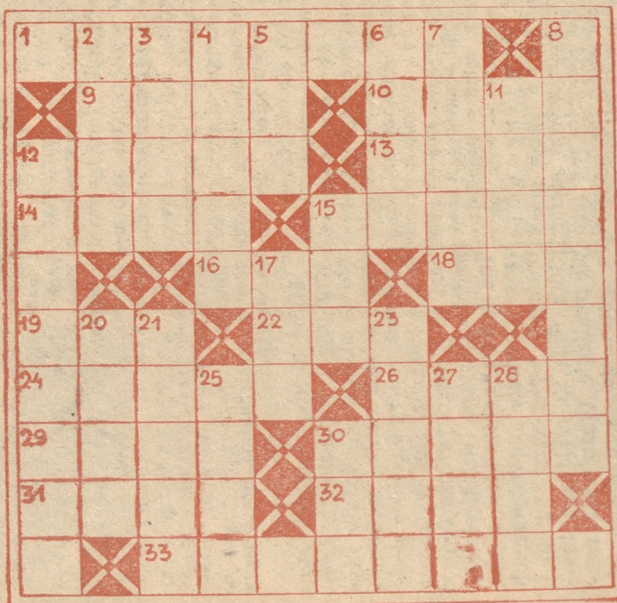
HOBBY NA SKALĘ NARODOWĄ



KRZYŻÓWKA

red. L. Rudkowski

Poziomo: 1 — ozdobna, krzywa szablą, 9 — prawo moźeszowe, 10 — mucha lub komar, 12 — przyprawa marynowana w occie, 13 — kolor w kartach, 14 — pierwszy lotnik, 15 — inaczej: gałąź, 16 — dopływ Renu, 18 — skrót handlowy, 19 — rzymska bogini urodzaju, małżonka Saturna, 22 — bór, gaj, 24 — postać z rewolucji francuskiej, 26 — nadzorca w obozie hitlerowskim, 29 — grecki Amor, 30 — przedmiot handlowy, 31 — żerdź, patyk, 32 — wielka planeta lub grecki łożek niebios, 33 — nieprawidłowość, odchylenie od normy PIONOWO: 2 — natarcie na nieprzyjaciela, 3 — surowa nafta, 4 — papuga, 5 — lokal gastronomiczny, 6 — umowa handlowa o przewozie towarów na koszt sprzedawcy, 7 — przesunięcie na wyższe stanowisko, 8 — wielbiciel, 11 — napój alkoholowy z ryżu, 12—1000 metrów, 15 — kawał lodu, 17 — rodzaj głosu, 20 — ciała w stanie lotnym, 21 — ptak z rodziny kruków, 23 — in. skłonna, łatwo ulegająca, 25 — zwrot staropolski, 27 — poręka na wekslu, 28 — określenie kobiety, 30 — kościół



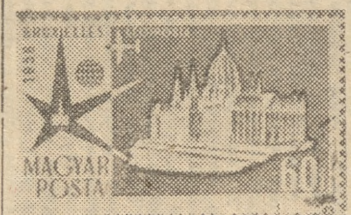
Odpowiedzi należy nadsyłać na adres: „Nowy Świat”, Poznań, ulica Grunwaldzka 19, najpóźniej do dnia 29 bm.

W ŚWIECIE ZNACZKÓW

Z okazji Wystawy Światowej w Brukseli, pobite zostały rekordy wydawanych z takiej okazji znaczków. Sama Belgia poświęciła wystawie 4 serie. Znaczki o tej tematyce wydali również: ZSRR, Węgry, Portugalia, Luksemburg, Czechosłowacja, a nawet ONZ.

Reprodukujemy 3 znaczki z serii węgierskiej: Znaczek za 60 filerów przedstawia gmach Parlamentu w Budapeszcie, za 2 forinty — słynna brukselska rzeźba — Manequin Pisse, za 5 forintów — symbol Wystawy Brukselskiej. Pozostałe znaczki tej serii przedstawiają: 20 fil. — pawilon węgierski, 40 fil. — wystawiane eksponaty na tle mapy Węgier, za 1 for. — budapeszteński Most Wiszcy, za 1.40 for. — godła państwowe Węgier i Belgii nad symbolem Wystawy i wreszcie za 3 forinty — ratusz w Brukseli.

mgr L. K.



Żeby lepiej smakowały

Ogłoszenie z rolniczego pisma, wychodzącego w Anglii: „Poszukujemy człowieka, który wychowa świnie z dobrym charakterem”.

Z czym do mistrzów

By uszczęśliwić dom drapacz „Potomac” i jego wartość przed złodziejami, rząd administracyjny domu za instalował, dzięki pomysłowości architektów, ukryte auto-

matyczne foto-kamery. Obecnie policja w Hagerstown (USA) szuka złodziei, którzy wykradli te aparaty. (n)

Z powodu: rozbierali?

Trzej włoscy urzędnicy państwowej kolei południowo-koreańskiej, polecieli samorzutnie rozebrać bocznice kolejową, a następnie sprzedali na własny rachunek 210 ton szyn (znamy, znamy). Sąd skazał kombinatorów na 6 miesięcy więzienia, motywując swój wyrok

Nas z Cortlandu nie nabiorą!

Jeden z kupców z Cortland (USA) wystawił w oknie wystawowym banknot dolarowy zaznaczając przy tym, że kosztuje on tylko 77 centów. Nikt go jednak nie kupił, gdyż liczni klienci obawiali się triku reklamowego. Tymczasem banknot był prawdziwy. (mz)

Al szkoda zjeść...

Pan Green z Witstable (hrabstwo Kent) obdarował swego czworonożnego przyjaciela — pieska Nox — tortem. Ozdobą tortu była... piękna latarnia sporządzona z cukru i pianki. (n)

Nie zauważyli

Pelne 12 godzin pracowali włamywacze, aby rozbić kasę pancerną w jednym z paryskich przedsiębiorstw. Gdy wreszcie stanęła ona przed ni-

mi otworem, spostrzegli, że szyfr (kombinacja cyfr) otwierający kasę jest wypisany o bok na ścianie.

Z egzaminów

W jednej z londyńskich szkół 10-letni chłopiec nie zdołał egzaminu, gdyż na pytanie nauczyciela: „Gdzie można znaleźć słonie?” odpowiedział: „Nie wiem. Słonie są to bardzo duże zwierzęta i dlatego bardzo rzadko się gubią”.

(mz)